

Wspomnienie o doktorze Mikołaju Kamińskim

„Takich ludzi już nie ma” – zalała się łzami sprzedawczyni na targu, słysząc o śmierci doktora Kamińskiego. „Pana ojciec mi życie uratował” – usłyszałem od innej kobiety po pogrzebie. Takie zdania słyszałem wiele razy, kiedy byłem dzieckiem. I wydawało mi się to normalne, że mój tatuś ratuje życie innym ludziom. Również normalne i zwyczajne wydawało mi się, kiedy na piaszczystej plaży nad Pilicą mój ojciec wskoczył do zdradliwej wody, aby ratować tonącą kobietę. Wyciągnął ją na brzeg, udzielił pierwszej pomocy, przeżyła.

Miał niełatwe, polskie życie. Urodził się w 1937 r. w Wilejce na obecnej Białorusi. Po Sowieciech, w 1941 r. podczas operacji Barbarossa na Kresy weszli Niemcy. Mój tata wspominał, jak sowieccy partyzanci wkroczyli podczas okupacji niemieckiej do obejścia jego dziadka i zarekwirowali budzik, szczyt marzeń człowieka radzieckiego. Opowiadał przy tym dowcip: „Ciężkie czasy, powiedział sowiecki żołdat, zdejmując zegar z wieży kościelnej”.

Po roku Niemcy wywieźli pięcioletniego Mikołaja-Kolę z rodzicami na roboty do bauera we wsi Moźnie koło Olecka. Bauer okazał się przyzwoitym zniemczonym Mazurem i dobrze traktował pracowników. Kola przetrwał trzy lata ponieważ, podkradając mleko krowom, wysysając zawartość jajek znalezionych w zaroślach przez dziurkę zrobioną gwoździem i chowając się przed kulami niemieckich żołdaków. Wolność wróciła po panicznej ucieczce Niemców, a po kilku dniach oczekiwania na chwilowej ziemi niczyjej, 28 stycznia weszli Rosjanie. Niespodziewanie uprzejmy i trzeźwy lejtnant oznajmił: „Wy użę swobodnyje”. Rodzina przyjechała do Suwałk, w Polsce, ale jak najbliżej ich małej ojczyzny.

Opowiadał o najwcześniejszej pracy w Bolesławcu Śląskim, jak kiedyś wrócił smutny z wezwania do Legnicy. Karetka przywiozła z poligonu młodego sowieckiego żołnierza ze zmiażdżoną nogą. Mój ojciec chciał ją amputować, ale sowieccy lekarze nie pozwolili na to. Operacja nie miała szans, ale przyszyli nogę. „Chcieli sobie poeksperymentować kosztem człowieka” – komentował. „Co tam jeden człowiek dla Rosjan”. Żołnierz zmarł po kilku dniach.

Nigdy nie wziął od pacjenta pieniędzy za operację lub inną pracę w szpitalu. Kiedy mieszkaliśmy w bloku w późnym PRL-u, pacjenci przynosili kwiaty, a w nich czasem były koperty. Raz pacjent, któremu zwrócił kopertę, wrzucił ją w zamykające się drzwi i uciekł.

„O, następny” – powiedział mój tata i pogonił za nim. Zawsze gonił takich pacjentów uciekających po schodach z naszego pierwszego piętra, a że w młodości był lekkoatletą, łapał ich zwykle na parterze. Wydawało mi się to normalne, że lekarz goni po schodach pacjentów, którzy przynoszą mu pieniądze.

Kiedy po upadku komunizmu otworzył prywatny gabinet, często nie brał od biedniejszych pacjentów pieniędzy mówiąc im, że to „tylko konsultacja”. Innym zaniżał stawkę, nie chcąc urazić ich dumy odmową przyjęcia honorarium. Udzielał bezpłatnych porad sąsiadom i znajomym.

Był pedantem i starał się nadzorować wszystko i wszystkich wokół, aby nie było błędów. Na każde umówione spotkanie przychodził dużo przed czasem. Podczas operacji swojego wyrostka poprosił tylko o znieczulenie miejscowe, bo chciał kontrolować jej przebieg. Niemal obsesyjnie planował najdrobniejsze szczegóły swoich operacji i omawiał stan pacjentów z mamą przy śniadaniu. „Ta się poprawiła, a ten się pogorszył”. I to też wydawało mi się normalne, że podczas domowych posiłków rozmawia się głównie o pacjentach.

Tylko raz widziałem mojego ojca, jak wpadł w furję. Jechaliśmy Warszawską na dworzec PKP i na jednej z bocznych uliczek pijak okrutnie bił psa. Mój ojciec zatrzymał samochód, wypadł z niego i prawie pobił chłopca. Ten przerażony stanął przed nim na baczność i wybełkotał „dziękuję i przepraszam za wszystko”. Moja siostra opowiedziała mi podobną historię, kiedy mój ojciec spuścił powietrze z kół innemu pijanemu rowerzyście wiozącemu na kolebiącym się rowerze małe dziecko.

Doktor Mikołaj Kamiński mieszkał w Tomaszowie przez 56 lat, pracował jako lekarz chirurg przez 35 lat, z czego część czasu pełnił funkcję ordynatora oddziału chirurgicznego. Jego śmierć zabrała rodzinie opokę, na którą zawsze można było liczyć, nie odmówił wsparcia nikomu potrzebującemu. Pomagał finansowo wielu ludziom, którym los poskąpił szczęścia i bagatelizował swoją szczodrość. Dopiero po latach zrozumiałem, że to, co robił, nie było ani zwykłe, ani normalne. W dzisiejszym świecie, który aspiruje co najwyżej do poprawności politycznej, był dobrym i uczciwym człowiekiem. „Takich ludzi już nie ma”.

Kochajmy naszych najbliższych. Dajmy im odczuć naszą miłość. Jak odejdą, na wszystko będzie za późno.

Marek Kamiński

Panaceum 5/2023